

Agnieszka Żurek

ŁOWCY JELENI

czyli kulisy życia elit


MAGNA
POLONIA

ŁOWCY
JELENI

Agnieszka Żurek

ŁOWCY JELENI

czyli kulisy życia elit


MAGNA
POLONIA
WYDAWNICTWO

© Copyright by Magna Polonia

Projekt okładki: Linda Zyga

Korekta: Adam Namięta

Skład: Wydawnictwo Magna Polonia

Fundacja Magna Polonia

Mysłowice 2021 r.

Wydanie pierwsze

kontakt@magnapolonia.org

www.sklep.magnapolonia.org

www.magnapolonia.org

ISBN 978-83-957610-9-6

MOTTO:

Ja to czuję, ja to słyszę

Kiedyś wszystko to napiszę

Stanisław Wyspiański „Wesele”

– CO PANI WYPRAWIA?!!!!

Wrzask szefa sprawił, że Ance najpierw zrobiło się słabo, po chwili jednak adrenalina postawiła ją na równe nogi, a mózg wyświetlił zaktualizowaną listę możliwych przewinień.

Dziennikarze? Zaproszeni. Komunikat do PAP-u? Wysłany. Zagraniczne media? Powiadomione. Notatka ze spotkania? Gotowa. Co mogło pójść nie tak?

– CO PANI WYPRAWIA, PROSZĘ NATYCHMIAST TU DO MNIE PODEJŚĆ!!! – Szerszeń (bo tak nazywali go podwładni) nie przestawał krzyżeć.

Podeszła z duszą na ramieniu, na trzęsących się nogach.

– Jan pani wytłumaczy – powiedział szef, poprawiając kołnierzyk i pompując w siebie odpowiednią ilość powietrza, po czym oddalił się w stronę kamer.

– Co się stało? – zapytała Jana.

– Chodzi o makijaż.

– Słucham?

– No ktoś go musi malować przed wyjściem do kamer.

– No to zatrudnijmy profesjonalną makijażystkę.

– Media się przyczepią. Ty to rób.

– Usta czy oczy, bo nie wiem, co należy mocniej podkreślić?

– Bez żartów, Anka, załatw to.

W jaki sposób tutaj trafiła? Wszystko zaczęło się po Smoleńsku. Narodowa tragedia dała jej i wielu innym ludziom w jej wieku potężny impuls do wyjścia z cienia i włączenia się w sprawy publiczne.

Wcześniej unikała bycia w oku cyklonu, była raczej nieśmiała i wolała zajmować się życiem prywatnym, czyli – bądźmy szczerzy – imprezowaniem. Po Smoleńsku jednak doszła do wniosku, że sprawy prywatne przestają mieć znaczenie w obliczu narodowej tragedii. Postanowiła działać. Pierwsza i podstawowa batalia rozegrała się o Krzyż na Krakowskim Przedmieściu. Anka pamiętała moment wyboru.

Wiedziała już, jak media przedstawiają obrońców Krzyża i wiedziała, że przynależność pokoleniowa predestynuje ją do zajęcia miejsca w szeregu ludzi „młodych, wykształconych i z wielkich miast”.

A takim nie wypada stawać w szeregu z zacofanym ciemnogrodem, wiernym tradycji i pamięci o ofiarach katastrofy. Nie ukrywajmy – życie towarzyskie było dla niej ważne. Lubiła się bawić, lubiła swoich znajomych, nie chciała ich stracić. Nie wielu jednak młodych ludzi interesowało się wówczas sprawą Smoleńska. W modzie była raczej obojętność, w najgorszym razie – żarty z tragedii.

To było straszne, nie znała czegoś takiego wcześniej. Kpiny z „krwawej Mary” i „zimnego Lecha” wypowiadali ludzie wykształceni, inteligentni, o wyrafinowanym i abstrakcyjnym poczuciu humoru.

Nie rozumiała tej nagłej przemiany. Czy zresztą rzeczywistoście przemiany? Czy jeśli ci ludzie objawili zdolność do tego rodzaju podłości, nie znaczy to, że była ona w nich już wcześniej?

Pogodziła się z tym, że odpowiedzi na te pytania nie znajdzie raczej w czasie ziemskiego życia. I choć z częścią koleżanek i kolegów nie straciła kontaktu, to jednak coś w tych znajomościach zgasło, pojawiły się pewien dystans i obcość. Tak chyba dzieje się wtedy, kiedy serca przestają zapalać się w tych samych momentach, a oczy szukać tego samego kierunku.

Wewnętrzny wybór, po której stronie stanąć, był dla niej oczywisty. Ale czy iść pod Krzyż w sensie fizycznym? Anka

zdawała sobie sprawę, że podejmuje życiową decyzję. I że wiąże się ona z realnymi konsekwencjami. Nie obawiała się hejtu medialnego, ale linczu towarzyskiego. Znajomi byli dla niej bliscy jak rodzina. Etykieta „oszołoma” też jej nie do końca pasowała, była przecież młoda, wykształcona etc. Nie miała też specjalnie z kim pod ten Krzyż pójść. Koleżanki i koledzy o bliskim jej światopoglądzie byli już często młodymi politykami, którzy obawiali się, że stanięcie w jednym szeregu z „oszołomami” mogłoby naruszyć ich WIZERUNEK. Po przeprowadzeniu we własnej głowie wielu rozmów z samą sobą doszła do wniosku, że – niezależnie od kontekstu i politycznego aspektu sprawy – decyzja opowiedzenia się ZA Krzyżem nigdy nie może być błędna. Przyszło jej też na myśl, że pod *tamtym* krzyżem nie stało wiele osób. Tylko trzy. A to one „wybrały najlepszą cząstkę”.

Poszła. I nigdy tego nie żałowała.

Był to czas przewartościowania życia. Imprezy przestały mieć znaczenie, dawne znajomości zbladły, pojawiły się nowe. Już na zawsze miała zapamiętać „ludzi z Krakowskiego Przedmieścia”.

Ideowych, o gorących sercach, szukających prawdy, czasem błędzących, ale przede wszystkim ŻYWYCH. Często bywała wykończona skalą hejtu, jaką raczyli obrońców Krzyża „młodzi wykształceni” bawiący się w pobliskich barach i przychodzący na Krakowskie Przedmieście „dla sportu”.

Łudziła się, że może skoro sama jest młoda i wykształcona, to uda jej się jakoś do nich dotrzeć, przełamać medialny stereotyp, wytłumaczyć, o co walczą obrońcy Krzyża i dlaczego nie mogą po prostu zrezygnować.

Nic z tego. Nie przekonała chyba nikogo. Zauważyła, że sama zaczyna nasiąkać otaczającym ją złem. Zaczynała tracić cierpliwość, irytować się, a nawet być nieprzyjemną dla Bogu

ducha winnych ludzi z tej samej strony barykady. Nie chciała tego, ale zmęczenie brało górę. W końcu postanowiła zaprzestać wdawania się w polemiki. Przychodziła po to, żeby się modlić.

Krzyż został zabrany przez ludzi Kościoła. Wyczyszczony, pozbawiony elementów patriotycznych, zawisł w bocznej kaplicy kościoła Świętej Anny.

Anka zaczęła szukać możliwości działania dla dobra wspólnego na innych polach. Dowiedziała się od Wiarygodnego Autorytetu, że jedna z gazet katolickich prowadzi rzetelne śledztwo dziennikarskie w sprawie Smoleńska.

Wysłała CV. Została przyjęta. Zaczęła od napisania artykułu na temat smoleńskich miesięcznic. Uwzględniła w nim nazwiska organizatorów i nazwy mediów, które reprezentowali.

Nie wiedziała jednak, że nazwy konkurencji się nie wypowiada. Redakcja wycięła nieprawomyślne nazwy i nazwiska, o niczym Anki nie informując. Spadły na nią pretensje konkurencji, była tym bardzo zdołowana.

Nie rozumiała wtedy jeszcze, że największym wrogiem na dziennikarskiej scenie nie jest przeciwnik polityczny, ale równoległa redakcja, walcząca o tych samych czytelników.

Nie mieściło jej się w głowie, że można tak postępować w obliczu największej narodowej tragedii od czasów wojny. Popracowała tam dwa lata, wiele się nauczyła, ale była to raczej gorzka wiedza o życiu.

Po tym, jak Ance po raz kolejny zmieniono tekst bez poinformowania jej o tym, zdecydowała się odejść. Podjęła pracę u boku Wiarygodnego Autorytetu. Czuła się niemal jak adiutant Marszałka Piłsudskiego, gotowa do działania o każdej porze, kiedy tylko Ojczyzna wezwie.

Tam jednak również obowiązywała żelazna zasada wygryzania „swoich”. Pech chciał, że znalazła się na celowniku młodocianego karierowicza i cwaniaka, o wyglądzie i manierach spasionego burmistrza.

Chłopak był silny, sprytny i bezwzględny, a w życiu polityczne i towarzyskie wcielał praktyki gangsterskie. Uniemożliwiało jej wykonywanie pracy do tego stopnia, że zdecydowała się porozmawiać na ten temat z Wiarygodnym Autorytetem.

Audycja u „Marszałka Piłsudskiego” zakończyła się słowami: „Cóż, w polityce każdy gra na siebie”.

Te słowa były jak gwałt na duszy. Anka wpadła w dwutygodniowy stupor i nie była wówczas w stanie odzyskać poczucia rzeczywistości. Czy naprawdę wszystkie osoby aktywne w życiu publicznym odgrywają tylko określone ROLE? I czy liczy się wyłącznie SKUTEKZNOŚĆ? Osiągana choćby „po trupach”? To o co toczy się ta cała walka, jeśli żyjemy w świecie pozorów i odgrywamy teatr?

Z czasem wycofała się z życia publicznego, doszła do wniosku, że to zaangażowanie nie ma najmniejszego sensu i polega z grubsza na „polowaniu na jelenia” w celu zaprzęgnięcia go do pracy ponad siły na rzecz Ryzykownych, Niedochodowych Przedsięwzięć Patriotycznych. Często na dodatek służących budowaniu legendy/pomnika za życia kóśemuś z Łowców Jeleni.

Poszła do korpo. Koniec z polityką, intrygami, agentami i zawiścią. Poniedziałek-piątek, 9-17, potem święty spokój. Umowa na czas nieokreślony, niezła kasa, brak specjalnej spiny.

Tylko że... nuda i bezsens. Młodociani dyrektorzy nadymający się jak pawie i rzucający hasła typu: „akceleracja!”, prezesi zajmujący się promowaniem siebie, a raczej tworzeniem własnego wizerunku, przelewanie z pustego w próżne, imprezy ku czci własnej, dumne ogłaszanie nowelizacji strategii do spraw modernizacji optymalizacji... Oraz tabelki, wykresy, koafuury i pazury.

Anka przelewała się jak meduza z gabinetu do gabinetu, wpisywała cyferki do tabel, robiła relacje z konferencji branżowych i nudziła się jak mops. Miała poczucie, że uczestniczy w jakimś festiwalu próżności i świecie pozorów. I te korpożarciki,



wzajemne nadszkakiwanie sobie: „panie prezesie” / „panie dyrektorze”, brrrrr. Decyzję o odejściu podjęła pod wpływem... kawy.

Biegała z miejsca na miejsce w wielkiej hali konferencyjnej, organizując rozmaitym prezesom rozmaite możliwości medialnego lansu, przy okazji robiła zdjęcia i pisała teksty do firmowego newslettera.

Sto telefonów na minutę. Odebrała sto pierwszy.

– Anka, przyjdź szybko do sali konferencyjnej.

– Co się stało?

– Szybko!

Przeprosiła dziennikarzy, schowała aparat fotograficzny, komputer i dyktafon i pobiegła. Co się okazało? Godność i majestat sprawowanej funkcji prezesa (rok starszego od Anki) nie pozwoliły mu samodzielnie nacisnąć przycisku „latte” w ekspresie do kawy.

„To nie ma sensu” – powiedziała sobie i zdecydowała się szukać innej pracy.

Nie trwało to długo. To praca ją znalazła. Odezwał się Dawny Znajomy, z czasów „opozycyjnych”, czyli posmoleńskich. Nadeszła „dobra zmiana” i rządy Nowej, Zupełnie Innej i Lepszej Partii.

Potrzeba ludzi do tworzenia instytucji i pracy na rzecz Polski. Młodych, wykształconych, o jasno ukształtowanym systemie wartości. Anka chciała się do czegoś przydać. Znała języki, interesowała się literaturą i sztuką... „Idę w to” – pomyślała. Tej decyzji z kolei żałowała później przez długie miesiące.

– Chcielibyśmy się z tobą spotkać, jeszcze zanim zaczniesz pracę.

– OK, ale czemu?

– Omówić pewne sprawy.

– Jest coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim tam pójdę?

– Nie, nie, tak chcemy pogadać.

Spotkań odbyło się kilka. Już wtedy intuicja ją ostrzegała. Wyglądało na to, że w Urzędzie Smaku i Folkloru panuje

mnóstwo konfliktów. Od słowa do słowa wyszło na to, że jeszcze się tam nie pojawiła, a już ma wrogów. Wiceszef SiF-u miał swojego kandydata na jej stanowisko, a generalnie sporo było tam nadal przedstawicieli Złej Zmiany, niechętnych przybywaniu do urzędu reprezentantów tej Dobrej. „No ale nic, wszystko z czasem, powolutku, na pewno mądrzejsi ode mnie mają w tych kwestiach racjonalny plan, a mi nie pozostaje nic innego, jak wykonywać jak najlepiej swoje obowiązki” – pomyślała Anka, starając się patrzeć w przyszłość z optymizmem.

– Dzień dobry, miło panią poznać, ale pragnę panią ostrzec, są rzeczy, o których powinna pani wiedzieć...

Dawny Znajomy przedstawił Ance mężczyznę koło czterdziestki, w jasnym garniturze, nienagannie wypastowanych butach i spiętrzonej burzy siwych loków na czubku głowy, na oko cierpiącego na potężną nerwicę.

– Poznaj proszę Karola. To na nim opiera się teraz większość działań twojego działu. To jest nasz człowiek, możesz mu w pełni zaufać.

– Miło mi, Anka – powiedziała, podając Karolowi dłoń i uśmiechając się do niego serdecznie.

Karol nie odwzajemnił uśmiechu. Ucałował podaną dłoń i wrócił do poruszonej poprzednio kwestii:

– Wolę nie przechodzić na „ty” z szefową. Źle znoszę kobiety w roli pryncypałów. Będę z panią szczerzy. Ma pani jakieś trzy miesiące. Jeśli nie zyska pani zaufania naszego Numeru Jeden, może się pani pożegnać z tym miejscem pracy.

Anka uniosła brwi w geście zdziwienia i spojrzała pytająco na Dawnego Znajomego.

– Jak to się ma, Sławek, do tego, co mówiłeś o panu Batorym? Wspominałeś, że to świetny człowiek i wspaniały szef... Wiesz, ja się nie upierałam przy zmianie, to wy mnie tu ściągnęliście.

– Ależ szef to złoty człowiek! Po prostu nie miał szczęścia do twoich poprzedników na tym stanowisku.



- A ilu ich było?
 - No... kilka osób.
 - Kilka od czasów objęcia władzy przez Dobrą Zmianę?
 - Tak, ale wiesz, to byli jacyś ludzie, którzy nie znali się na mediach, a szef jest czuły na punkcie swojego wizerunku, jak każdy polityk zresztą. Będzie dobrze, zobaczysz!
- Anka nie była jednak tego taka pewna.

Przed objęciem stanowiska szefowej PR-u w Urzędzie Smaku i Folkloru, zwanym w skrócie SiF-em, zaczęła się źle czuć. Jakieś zapalenie nerwu szyjnego uniemożliwiło jej niemal poruszanie głową, ta z kolei bolała niemiłosiernie. Stawiła się jednak o umówionej porze w gabinecie dyrektora naczelnego.

- Cześć, Jacek! – ucieszyła się na jego widok. Dekadę wcześniej pracowali razem w jednej z instytucji kulturalnych, miała o nim jak najlepsze zdanie. Jacek przywitał ją jednak dość sztywno. To już nie był ten skromny, uprzejmy, ale zawsze kompetentny młody człowiek, którego pamiętała sprzed lat. To był Dyrektor Naczelny, który patrzył na nią chłodno z głębi swojego skórzanego fotela.

- Usiądź proszę. To co u ciebie słychać?
- U mnie dobrze, cieszę się z nowej pracy i z Dobrej Zmiany, nareszcie będzie w Polsce normalnie.
- To znaczy? – Mężczyzna przyjrzał jej się badawczo.
- No wiesz, wreszcie nastały warunki do dokończenia dekomunikacji, do rozliczenia afer, do wyjaśnienia Smoleńska...
- Dobrze, czyli widzimy się w poniedziałek na zebraniu kierownictwa urzędu – zakończył rozmowę.
- A co z umową? – Anka przypomniała o podstawowym celu spotkania z naczelnym.
- Będzie gotowa w poniedziałek.

Przyszła sporo przed czasem. Nikt jej nie przedstawił podwładnym, nikt nie oprowadził po urządzie. Weszła do gabinetu, w którym walały się jeszcze brudne filiżanki po jej poprzedniku, jego rzeczy osobiste i rozmaite śmieci. Poczula się nieswojo. Wytłumaczyła sobie jednak, że nie może być małostkowa, że tutaj pewnie trwa ostra walka z przeciwnikami politycznymi, a na froncie – jak to na froncie – nie ma czasu na nadmierny wersal, nawet wobec dam.

Nie była długo sama. Krótkie i mocne pukanie do drzwi poprzedziło wejście Karola. Ucałował jej dłoń, po czym zatrzymał wzrok na jej biuście i pozostając w takiej pozycji, zaczął tłumaczyć jej zawilgości funkcjonowania urzędu. Anka po piętnastu minutach miała głowę w kształcie ostrosłupa. Nie chciała być niegrzeczna, ale marzyła o tym, żeby Karol opuścił jej gabinet i żeby mogła sama się w nim spokojnie zaaklimatyzować. Karol jednak, targany poczuciem misji, wyjaśnił jej, że trafiła do lewackiego źmijowiska, gdzie każdy, ale to każdy, czyha na potknięcie szefa, który nie zdaje sobie sprawy z powagi tego zjawiska i którego za wszelką cenę trzeba ochronić przed złem. Więcej opowie jej w parku, ponieważ tutaj „ściany mają uszy”.

„Czyli to jest ta «najbardziej wiarygodna i pracowita osoba, na której opiera się praca całego działu...»” – przypomniała sobie słowa Dawnego Znajomego i popadła w jesienną zadumę.

– Pani dyrektor, jest pani proszona NATYCHMIAST do pana Batorego – telefon rozdzwonił się na jej biurku. Jako jedyna szefowa działu nie miała własnego sekretariatu. Wszystkie telefony i cała korespondencja przychodziła bezpośrednio do niej, podobnie jak wszystkie osoby z urzędu, które miały dla niej rozmaite nagłe i pilne zadania, rady i pomysły.

Słowo „NATYCHMIAST” zabrzmiało poważnie, nie wiedziała jeszcze, że odtąd będzie je słyszeć przynajmniej



kilka razy dziennie, przez cały okres swojej pracy w SiF-ie. Wtedy jeszcze myślała, iż rzeczywiście wydarzyło się coś istotnego i niecierpiącego zwłoki. Zjawiła się w przed-sionku gabinetu szefa i zapytała panie sekretarki, czy ma do niego wejść.

– Ależ chyba żartujesz! – Mariola nie miała problemu, żeby przejść z Anką na „ty”. Wydęła usta w geście najwyższego oburzenia i wyjaśniła wyniośle: – Pan profesor poprosi.

Anka chciała usiąść, ale krzesła były zajęte przez panów urzędników czekających, podobnie jak ona, na audiencję. W powietrzu wyczuwało się potężne napięcie, unoszące się zresztą w całym urzędzie. Tu jednak było jego epicentrum. Anka, mająca dar i przekleństwo odbierania ludzkich nastrojów niczym sejsmograf drgania ziemi, bardzo źle znosiła tę atmosferę. Głowa jej pękała i czuła się nie dość, że nieprzydatna, to jeszcze traktowana wrogo. W tym czasie pojawił się Jacek, który przyniósł jej do podpisania umowę. Kwota, która pojawiła się w dokumencie, była znacznie niższa od tej, na którą umawiali się przed podjęciem zatrudnienia. Inne było też stanowisko.

– Jacek, ale co to znaczy, oferowaliście mi funkcję dyrektora departamentu i wynagrodzenie wyższe o dwa tysiące? – zapytała zdziwiona.

– Aniu, chyba się nie zrozumieliśmy. Ta kwota i funkcja miały pojawić się dopiero po zwolnieniu poprzedniego dyrektora.

– Ale jak to, zaoferowaliście mi stanowisko kogoś, kto przebywa na zwolnieniu lekarskim?

– Ale on już do pracy nie wróci.

– Jacek, ale ja nie chcę zajmować stanowiska czyimś kosztem.

– Taka jest decyzja pana profesora.

Otwarcie wielkich, złożonych niczym na Kremlu drzwi i pojawienie się w nich niewielkiej rozmiarami postaci zapraszającej na zebranie przerwało dyskusję z naczelnym.

Anka zajęła miejsce przy długim, ciemnym stole, zastawionym kawą i kanapkami. Ani teraz, ani nigdy później nie była w stanie niczego tam przełknąć.

– To może się nam pani przedstawi – usłyszała.

– Anna Jeleńska, ukończyłam studia filologiczne, pracowałam w redakcjach..., pisałam o...

– Jak dla mnie może pani w ogóle nie umieć pisać! Ma pani za zadanie postawić do pionu ten gang Olsena! – przerwał jej profesor Batory.

– To znaczy?

– To znaczy, że to ma DZIAŁAĆ!!! Albo się pani do niczego nie nadaje.

– Może zechciałby pan profesor porozmawiać o swoich oczekiwaniach...

– To pani ma to wiedzieć! To pani jest od tego! Koniec dyskusji!

Reszta zebrania przebiegła w podobnej atmosferze. Jeszcze wtedy ludziła się, że być może jej szef miał nie najlepszy dzień, że to jakiś wypadek przy pracy, że na co dzień jest osobą kulturalną i z klasą.

Wróciła do swojego gabinetu. W czasie, kiedy jej nie było, dzwoniło siedemnaście osób. Większość prosiła o spotkanie, większość niezwłocznie.

– To miejsce nie było przez nikogo zajmowane przez parę miesięcy, a każdy ma jakąś sprawę do działu PR-u – wyjaśnił jej Karol. – A teraz chodźmy do parku, bo muszę z panią poruszyć kilka istotnych kwestii, a tutaj wiadomo! – Mężczyzna rozejrzał się dookoła wzrokiem pełnym czujności i grozy.

Mózg Anki powoli przełączał się w dokładnie taki tryb funkcjonowania.